

Tożsamość „in statu nascendi” O prozie Eugeniusza Łastowskiego

Biografia twórcza Eugeniusza Łastowskiego obfituje w paradoksy. Paradoks pierwszy polega na tym, że liczący sobie obecnie 92 lata prozaik zielonogórski jest pisarzem mało znanym, a w gruncie rzeczy – nieznanym, gdyż opublikował zaledwie jedną powieść, garść opowiadań oraz kilka tekstów publicystycznych. To bardzo mało, zważywszy, że w biblioteczkach i szufladach autora spoczywa łącznie 14 utworów prozatorskich, z których najmniejszy liczy sobie 160, a największy ponad 400 stron. Gdyby udało się ogłosić drukiem choćby połowę z nich, to ich twórca byłby niewątpliwie zaliczany do najbardziej płodnych pisarzy na Ziemi Lubuskiej, tymczasem ironia losu zrządziła, że mało kto o nim słyszał.

Paradoks drugi tkwi w tym, że książkowy debiut autora wypadł niezmiernie późno. Pierwsza i jedyna książka Łastowskiego, zatytułowana *Szumiały lasy*, ujrzała światło dzienne w roku 2005, gdy pisarz liczył sobie już 86 lat. To zdecydowanie za późno, biorąc pod uwagę, że lubuski prozaik inicjację literacką przeszedł bardzo wcześnie, jako że pierwsze swe teksty ogłaszał jeszcze przed wojną, mając zaledwie lat kilkanaście.

Trzeci paradoks (tym razem do pewnego stopnia pozorny) ma swe źródło w tym, że Łastowski jest wprawdzie pisarzem lubuskim, i to w podwójnym sensie, bo – po pierwsze – od ponad 60 lat mieszka w stolicy Ziemi Lubuskiej, a po drugie ma w swoim dorobku teksty traktujące o Środkowym Nadodrzu, to jednak wciąż pozostaje wierny ukochanej Wileńszczyźnie, na której się wychował, i to jej właśnie poświęca większość swych utworów. Choć brzmi to nieco absurdalnie, podstawowym znamieniem jego lubuskiej tożsamości jest nostalgia za utraconą kresową ojczyzną.

Czwarty wreszcie paradoks jest kluczem do zrozumienia trzech poprzednich. Oto Łastowski pisze z pasją i na przyzwoitym poziomie warsztatowym¹, co więcej – podejmuje zagadnienia społecznie doniosłe, a mimo to nie wzbudził większego zainteresowania wydawców. Nie było i nie ma klimatu sprzyjającego wydawaniu jego dzieł. W okresie PRL na przeszkodzie stały względy cenzuralne. Po roku 1989 miejsce cenzury zajęła poprawność polityczna, a dodatkowo doszły względy komercyjne. W jednym z poważnych – jak mogłoby się wydawać – wydawnictw pisarza zapytano wprost, czy w jego utworach gości tematyka erotyczna, bo jeśli nie, to nie są zainteresowani ich publikowaniem.

Przedmiotem swych utworów Łastowski czyni zdarzenia autentyczne, starając się, aby – jak powiada – „nie zaginęły w czeluściach zapomnienia”. Tej metodami literackimi prowadzonej działalności swoiście dokumentacyjnej towarzyszy u zielonogórskiego prozaika typowe dla Kresowian jako ludzi poddanych tzw. repatriacji, która *de facto* była ekspatriacją, a więc wyrzuceniem z ojczyzny, ciągłe poszukiwanie tożsamości, jej nieustanne kreowanie. Tu – jak sygnalizowałem wcześniej – ruch odbywał się w dwóch kierunkach. Pisarz po paroletnim pobycie na Pojezierzu Mazurskim osiedlił się w Zielonej Górze i, z wolna wrastając w pejzaż tego miasta, stawał się Lubuszaninem. Równocześnie jednak narastało w nim odczucie bólu spowodowanego wypędzeniem z Kresów. Dodać wypadnie, że ból ten jest uzasadniony dodatkowo świadomością tego, że ostatni przywódca Związku Radzieckiego – Michaił Gorbaczow – miał zamiar oddać Polsce Kresy Wschodnie. Tymczasem na przeszkodzie jego planom stanęli nasi prominentni politycy².

Spróbujmy prześledzić drogi kształtowania się tożsamości Łastowskiego, starając się jednocześnie przybliżyć utwory, które ilustrują wyciskające piętno na osobowości pisarza skomplikowane doświadczenia naszego narodu.

Łastowski urodził się 14 października 1919 roku na Wileńszczyźnie we wsi Myszki, gmina Duniłowicze, powiat Postawy. Obecnie miejscowość ta jest niemal całkowicie wyludniona, liczy sobie ok. 22 mieszkańców, ale w dwudziestoleciu międzywojennym zamieszkiwało ją bisko 450 osób. Rodzice przyszłego pisarza byli rolnikami. Prowadzili średniej wielkości gospodarstwo, niezbyt może wielkie, ale pozwalające na życie w dostatku, a także na kształcenie syna. Ten naukę początkową rozpoczął w miejscowej szkole powszechnej. Klasy 5–7 kończył

¹ O umiejętnościach warsztatowych pisarza świadczy choćby dyplom otrzymany przez niego na VIII Międzynarodowym Konkursie Emigracyjnym w Londynie za wiersz *Przydrożny krzyż*.

² E. Prus, *Gorbaczow chciał, Michnik – nie*, „Głos Polski” (Toronto) z dnia 26 IV 1996. Zob. też: R. Pollak, *Kto z polskich polityków oddał Ukrainie Lwów po 1989 roku, a Litwie Wilno?*, „Śląska Gazeta” 2011, nr 22.

w odległej o 5 km miejscowości Duniłowicze. Kontynuował edukację w słynnym wileńskim Gimnazjum i Liceum im. Zygmunta Augusta, którego absolwentami byli m.in. późniejszy laureat literackiej Nagrody Nobla Czesław Miłosz oraz dziennikarz „Tygodnika Powszechnego” i poseł na Sejm Stanisław Stomma. Uczony był m.in. przez wybitnego polonistę, nazwiskiem Urszywo, brata wileńskiego biskupa. Maturę zdał w maju 1939 roku. Najwcześniejsze etapy swego życia Łastowski zobrazował w pisany w latach 1960–1961 zbiorze utworów prozatorskich *Opowieść chłopczyka – opowiadania dla młodzieży*.

Przyszły pisarz debiutował bardzo wcześnie. W lipcu 1936 roku jako siedemnastoletni młodzieniec wygrał literacki konkurs na opowiadanie o tematyce animalistycznej, ogłoszony przez spikera Polskiego Radia w Wilnie – Leona Lecha Beynara (znanego później pod nazwiskiem Paweł Jasienica). Pierwsza nagroda, którą Łastowski otrzymał za opowiadanie o trudnej sytuacji zwierząt na wsi, otworzyła mu drogę do wileńskiej rozgłośni. Tu co tydzień przygotowywał dziesięciominutowe pogadanki, podejmujące różnorodną problematykę. Zaczął też pisać debiutanckie utwory literackie, które jednakże zaginęły w wojennej zawierusze. Akcentując swoje wczesne inklinacje do uprawiania twórczości literackiej, zielonogórski pisarz żartobliwie stwierdza, że jako gimnazjalista mieszkał w Wilnie przy ulicy Żarzewnej, gdy szedł więc do szkoły, mijał Zaulek Bernardyński, dzięki czemu mógł spoglądać na budynek, w którym Adam Mickiewicz napisał *Grażynę*.

Wybuch II wojny światowej zastał Łastowskiego w rodzinnej miejscowości. 5 lipca 1939 roku, stanąwszy na komisji poborowej, przydzielony został do piechoty, ale powołania do wojska nie otrzymał. Na wojnę wyruszyło wielu mieszkańców Myszek i pobliskich miejscowości. Wkrótce ci, którzy ocalili, ledwie żywi powrócili w rodzinne strony. W drugiej połowie września na Wileńszczyznę wkroczyli Sowieci. Dwudziestoletni Eugeniusz wraz z grupą przyjaciół udał się do pobliskiego miasteczka, aby zobaczyć czerwonarmistów. Nowa władza okazywała się obiecująca. Radziecki politruk ogłaszał mieszkańcom, że od tej pory wszystko do nich należy – łąki, pola, lasy, fabryki, koleje. Mogą zbierać dworskie ziemniaki, z pałaców zabierać meble, pianina itd.

Wkrótce władza sowiecka odkryła w pełni swoje oblicze. Rozpoczęła metodyczne wyniszczanie narodu polskiego. Swą agresję – o czym była tu już mowa – skoncentrowano głównie na inteligencji. Zamieszkujących w Myszkach oraz w pobliskich miejscowościach wójtów, sołtysów, leśniczych, policjantów, a przede wszystkim nauczycieli, zaarrestowano i osadzono w nieodległym Berezweczu. Znajdujące się w tej wsi olbrzymie i przepiękne budynki kościoła i klasztoru o charakterystycznych – typowych dla architektury rokokowej – wklęsło-wypukłych ścianach NKWD przekształciła w więzienie śledcze. Jego naczelnikiem został sierżant bezpieczeństwa państwowego Michaił Prijomyszew.

W niewyobrażalnie zatłoczonych celach więzienia przetrzymywano tu różnego rodzaju polskich „kułaków”, „szpionów” oraz oskarżonych o rozmaite przestępstwa „kontrrewolucjonistów”. Morzono ich głodem i stosowano wobec nich wymyślne tortury.

W listopadzie 1939 roku wybuchła wojna sowiecko-fińska. Wielu Polaków siłą wcielono do wojska i bez żadnego przeszkolenia skierowano na pierwszą linię frontu. Tuż przed Bożym Narodzeniem pobór objął także mężczyzn z Myszek i innych okolicznych wiosek. Wcielonym do armii młodym mężczyznom przyszło uczestniczyć w krwawych walkach, które toczyły się w straszliwych warunkach, przy siarczystym, czterdziestostopniowym mrozie. Żołnierze masowo ginęli, nierzadko popadali w obłąd. Przeżyli głównie ci, którym udało się przejść na fińską stronę. Z czterech mieszkańców Myszek, których zabrano na front, nie ocalał nikt. Udało się natomiast przeżyć mieszkańcowi sąsiedniej wioski – Eugeniuszowi Sokółce. Jego relacje o tym mało znanym epizodzie w historii Polski stały się kanwą pisanej przez zielonogórskiego prozaika w latach 2000–2001 powieści *Nie wszyscy umierają*. We *Wstępie* do utworu pisarz stwierdza m.in.:

Rozpoczęła się branka młodych Polaków z okupowanych ziem Polski do Czerwonej Armii. Byłem wtedy młodym człowiekiem i mój rocznik podlegał służbie wojskowej.

W grudniu 1939 roku zegnałem na stacji kolejowej w Woropajewie, Nowodruku i Konstantynowie swoich kolegów odjeżdżających na wschód [...].

Każdego dnia w ramach mobilizacji powoływano na front nowe roczniki poborowych. Oczekiwałem z drżeniem serca i niepokojem wezwania na front. Ale nieszczęście mnie ominęło.

Co się stało? – pytali sąsiedzi. Zagadka została wyjaśniona na wiosnę 1940 roku. Wezwanie wystawione na moje nazwisko do mnie nie dotarło. Sąsiad Szymon Chomicz wyszedł z pługiem w pole i w bruzdzie znalazł zagubione wezwanie dla mnie do Czerwonej Armii [...].

Wojna sowiecko-fińska zakończyła się 13 marca 1940 roku na podstawie traktatu pokojowego. Tysiące Polaków w czasie walk przeszło z bronią w rękę do Finów [...]. Władze sowieckie z biegiem czasu zorientowały się w sytuacji i wszystkich Polaków wycofały z frontu. Moi koledzy Władysław Jermakowicz, Józef Wołoch, Stanisław Pretko polegli. Ocalał najbliższy sąsiad i kolega Eugeniusz Sokółko z Załawek, który długo i z nabożeństwem opowiadał o swoich przeżyciach, cierpieniach i walkach na pierwszej linii frontu. W trakcie opowiadania jego i moje oczy wilgotniały od łez³.

³ E. Łastowski, *Wstęp*, [do:] *Nie wszyscy umierają* (maszynopis niepublikowany).

Na początku lutego 1940 roku pisarz po raz pierwszy stał się świadkiem masowych branek na Sybir. Mieszkańcy wsi byli gotowi na wywózkę, która mogła nastąpić w każdej chwili dnia i nocy. Kiedy któregoś wieczoru rodzina Łastowskich usłyszała pukanie w okiennice, wszyscy jej członkowie zamarli ze strachu. Na szczęście to tylko zmarznięty kot usiłował po okiennicy dostać się na strych. W rzeczywistości NKWD-ziści pojawili się 10 lutego, ale przybyli tylko po dziesięcioletnią Jankę, której rodziców mieszkających w nieodległej leśniczówce wywozili w głąb Rosji. Dziewczynka wyjechała bez kożucha, co bardzo zmniejszało jej szanse na przeżycie. Eugeniusz postanowił więc szybko dostarczyć odzienie do odległego o 3 kilometry Woropajewa, skąd wyruszał transport kolejowy. To, co tam zobaczył, było przerażające: w wagonie towarowym przebywali straszliwie stłoczeni i wygłodniaли ludzie, niektórzy w letnich trepkach, gdyż zgarnięto ich w tym, co mieli na sobie, nie dając ani chwili na spakowanie. Przed pociągiem jakiś starszy człowiek wędrował ze związanym pakunkiem. Okazało się, że w zawiniątku znajdował się jego zmarły wnuczek. W przypiływie dobroci NKWD-ziści pozwolili pochować dziecko na miejscowym cmentarzu.

Kožuch, który udało się przekazać małej Jance, być może uratował jej życie. Po wojnie wraz z rodzicami powróciła spod Irkucka do Polski i osiedliła się w podzielonogórskim Jędrzychowie. Przeżycia swoich bliskich Łastowski spisał w latach 1994–1995 w powieści *Straszliwy jest ten świat*.

Wywózki na Sybir przyszyły prozaik obserwował jeszcze wiele razy. Pod koniec czerwca 1941 roku w radiu obwieszczano ich koniec, bo oto na Wileńszczyznę wkroczyła „wyzwolicielska” armia niemiecka. W obliczu hitlerowskiej inwazji na Związek Radziecki wieczorem 23 czerwca 1941 roku ludowy komisarz spraw wewnętrznych ZSRR Ławrentij Beria nakazał szefowi NKWD Białorusi Aleksandrowi Matwiejewowi niezwłocznie przystąpić do likwidacji więzienia w Berezwecczu. Tej samej nocy organy NKWD dokonały masakry ok. 300–500 więźniów skazanych na karę śmierci oraz oskarżonych o „przestępstwa kontrrewolucyjne” i „działalność antysowiecką”⁴.

Przygotowując się do wykonania egzekucji, funkcjonariusze NKWD wykopali w głębi więziennego dziedzińca doły przeznaczone do ukrycia zwłok. Następnie, po włączeniu głośniejszej muzyki, która miała zagłuszać odgłos strzałów, przystąpili do zabijania więźniów w pomieszczeniach piwnicznych więzienia. Zabijano strzałem z pistoletu w tył głowy, uderzeniem kolby karabinu, przebijano bagnetem. Ślady na zwłokach wskazywały, że przed zamordowaniem więźniowie byli bici, maltretowani i okaleczani. O stosowanych tam torturach świadczy fakt,

⁴ We fragmencie rozważań poświęconym Berezwecczowi wykorzystuję ustalenia zawarte w: M. Jazownik, L. Jazownik, *Pamięć Berezweccza w prozie Eugeniusza Łastowskiego*, „Nad Odrą” 2011, nr 9–10, s. 58–59.

że w piwnicach odkryto stos wyciętych ludzkich języków. Część więźniów, o nieustalonej liczebności, zamurowano żywcem w celach więziennych. Pozostałych (w liczbie ok. 800–900 osób) ewakuowano. Ich los był równie okrutny. Wyprowadzonych z więzienia, pognano w stronę Witebska. Szlak ich przemarszu stał się prawdziwą „drogą śmierci”, gęsto usłaną trupami. Pozbawieni jedzenia i picia, szli długimi kolumnami. Ci, którzy ustali w marszu lub nie dostosowali się do poleceń konwojentów, ginęli od kul karabinów i uderzeń bagnetów. Marsz długich kolumn zakończył się nad Dźwiną w pobliżu kołchozu Taklinowo, położonego obok miejscowości Ulla (obecnie Nikołajewo). Na udręczonych więźniów, którym kazano położyć się twarzą do ziemi, posypały się kule karabinów i bomby zrzucane z samolotów.

Eugeniusz Łastowski wraz ze swym ojcem nosił paczki do uwięzionego w Berezwechu wspaniałego nauczyciela z Myszek – Ferdynanda Malca (który nb. przeżywszy ewakuację więzienia, wstąpił do Armii Andersa; wraz z nią wyostał się ze Związku Radzieckiego i osiadł w Argentynie). O losach Polaków przetrzymywanych przez NKWD w bazylikańskim zespole kościelno-klasztornym Łastowski dowiadywał się także u wujostwa mieszkającego w oddalanej od Berezwecha o 5 km miejscowości Ławrynówka. Co więcej, wuj oprowadzał go po pobliskich lasach, gdzie zakopane były ciała Żydów i Polaków, pomordowanych przez Niemców, którzy przeszli po Rosjanach berezweczańską turmę. Sytuacje znane pisarzowi z autopsji, a także zdarzenia opowiedziane mu przez cudem ocalonego z pogromu na „drodze śmierci” Władysława Bułata, stały się kanwą mikropowieści opatrzonej znamienym tytułem – *Widma*. Powieść tę autor włączył w obręb pisanego w latach 2000–2001 utworu zatytułowanego *Ostatnia droga*.

Widma przynoszą wstrząsający, bardzo realistyczny, z fotograficzną niemal dokładnością rejestrowany obraz ewakuacji berezweczańskiego więzienia. Opowieść Eugeniusza Łastowskiego zainteresowała Andrzeja Przewoźnika. Sekretarz Generalny Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa uznał, że *Widma* zasługują na opublikowanie i obiecał znaleźć niezbędne w tym celu środki finansowe. Miał zająć się sprawą bezzwłocznie po powrocie z katyńskich grobów. Niestety katastrofa smoleńska zniweczyła te plany. „Wraz z Andrzejem Przewoźnikiem pod Smoleńskiem zginęła także moja powieść” – mówi z rozgoryczeniem zielonogórski prozaik. Okazało się bowiem, że nowy Sekretarz Generalny Rady OPWiM – Andrzej Kunert – odmówił dotowania publikacji. Utwór nie może być dotowany z funduszy Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa, ponieważ „mimo walorów artystycznych i edukacyjnych, nie nawiązuje do tematyki polskich miejsc pamięci”⁵.

⁵ List Sekretarza Generalnego Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa Andrzeja Kunerta do Eugeniusza Łastowskiego (w posiadaniu autora).

O zbrodniczym charakterze stalinizmu Łastowski miał możliwość przekonać się na różne sposoby. Szczególnych dowodów w tej materii dostarczali Polacy i Ukraińcy poznani przez niego w jednym z wielu sowchozów założonych przez Sowietów na Wileńszczyźnie, usytuowanym we wsi Bieniakonie. W sowchozie tym przyszły pisarz podjął pracę dzięki życzliwości znajomego agronoma z Wilna. Zyskawszy zaufanie sowchoźników, dowiedział się o głodzie, który panował na Ukrainie zwłaszcza w latach 1932–1933. W zaciszu swego mieszkania młody prozaik zapisywał relacje o gehennie, w której wyniku zginęło kilka milionów Ukraińców oraz kilkaset tysięcy Polaków. Po wojnie, w latach 1956–1957 na podstawie tych zapisków stworzył powieść, której nadał tytuł *Głodni ludzie*. Mimo że era stalinizmu już wówczas się skończyła, powieść nie mogła liczyć na łaskawość cenzury; dzisiaj zresztą też o zagłodzonych Polakach niewiele się pisze.

Mieszkańcy Wileńszczyzny liczyli na to, że wkroczenie Niemców położy kres terrorowi. Początkowo hitlerowcy zachowywali się przyzwoicie. Przywrócili dawnych polskich sołtysów i wójtów. Pozwalali na wydawanie polskojęzycznej prasy („Goniec Codzienny”), w której m.in. ujawniano nieznanne fakty o mordzie dokonanym przez Sowietów w Katyniu. Wkrótce jednak rozpoczęły się pacyfikacje i masowe egzekucje.

Pod koniec grudnia 1941 roku prasa wielkimi literami ogłaszała zwycięstwo armii niemieckiej nad Związkiem Radzieckim. Radość Niemców okazała się jednak przedwczesna. Niemcy ponosili straty na froncie. Coraz bardziej też dawała im się we znaki ukrywająca się po lasach partyzantka AK-owska i radziecka. Sytuację w Myszkach okupowanych przez Niemców oraz działania partyzantów w okolicznych lasach prozaik ukazał w napisanej tuż po wojnie, w latach 1945–1946, powieści *Szumiały lasy*. W latach 50. przesłał ją do Związku Literatów Polskich, którym kierował wówczas Leon Kruczkowski. Otrzymał odpowiedź z ZLP, z której wynikało, że powieść napisana jest z wielkim talentem, ale zawodzi w niej akcenty polityczne. Spodziewając się, że powieść prędzej czy później spotka się z zainteresowaniem odbiorców, postanowił tekst oprawić. W rzeczy samej – spotkała się, i to szybciej niż się spodziewał. Natychmiast po tym, jak oddał maszynopis do introligatora, utworem głębokie zainteresowanie wykazał Urząd Bezpieczeństwa. I to do tego stopnia, że pisarz był niemal przez cały miesiąc systematycznie, bodaj że 20 razy, wzywany do budynku przy Ulicy Zyty (obecnie wchodzącego w skład Szpitala Wojewódzkiego w Zielonej Górze). W czasie długich rozmów z prozaikiem funkcjonariusze UB na różne sposoby usiłowali poszerzyć swoją wiedzę o ukazanych na kartach powieści dowódcach i żołnierzach AK. Pozostawiając uwagę o tej swoistej recepcji utworu na marginesie rozważań, powróćmy myślą na Wileńszczyznę.

W lipcu 1944 roku armia sowiecka, wypierając Niemców, z powrotem wkroczyła na ziemię polskie. Z lasów wychodzili polscy i rosyjscy partyzanci różnych

formacji, którzy w walkach z hitlerowcami częstokroć ze sobą współdziałali. Polacy cieszyli się ogromnie, wierząc, że przywrócona zostanie wolna Polska. Tymczasem okrążono ich i we wsi Kupczele pod Opsą zamknięto do wielkich stodół. Później przez Dukszytę przetrzucono ich do straszliwego obozu w Kałudze. Chciano tam wcielić do armii Berlinga. Ponieważ nie zgodzili się na tę propozycję, wywieziono ich do tajgi archangielskiej. Tam powiedziano im, że jeśli chcą mieć dach nad głową, to powinni zbudować sobie szałas. Do jedzenia dawano im zupę z liści paproci. Głód, choroby i ciężka praca dziesiątkowały zesłańców. Jeśli ktoś był słabszego zdrowia, ginął w kilka dni. Wywożono Polaków nie tylko na Syberię. Młode kobiety transportowano na tzw. ziemie odłogowe, m.in. na tereny Kazachstanu. Mężczyzn do 55 roku życia wcielano do wojska. Do armii Berlinga powołany został m.in. ojciec pisarza. Zginął 15 marca 1945 roku w walkach o Wał Pomorski w zachodniej części wsi Bienowo na froncie w okolicach Kołobrzegu.

Losy Polaków pod okupacją niemiecką i radziecką pisarz ukazał w trzech utworach, a mianowicie w ukończonej w 1963 roku powieści *Gorący lipiec*, w piśnianym w dziewięć lat później zbiorze prozy *Życie i śmierć oraz inne opowiadania*, a przede wszystkim – w obszernym, napisanym w latach 2007–2008 utworze powieściowym *Umierali, aby żyć*. Swoistą aurę tego utworu znakomicie oddaje końcowa jego scena:

[...] Grypa szalała w łagrze z niebywałą okropnością. [...] Codziennie strażnicy otwierali drzwi ziemianek i wynosili na noszach nieboszczyków. Schorowani Polacy oczekiwali w cierpieniu na śmierć. Ale ona na zawołanie nie przychodziła. Chcieli umrzeć, ale nie mogli. Tymczasem wrzody i insekty pożerały ciało. W tych dniach przed ziemiankami nie ustawał ożywiony ruch. Tu strażnicy i funkcjonariusze zabierali na nosze świeżo zmarłych Polaków. Ładowali do skrzyń ciężarowych samochodów i wywozili w nieznanym kierunku. Być może wrzucali do uprzednio wykopanych jam w tajdze, jak to robili z poprzednimi nieboszczykami i rannymi.

W chłodnych ziemiankach dogorywały spokojnie na pryzkach cienie ludzkie. Chwila konania – mówiono – nie jest straszna, ale jej oczekiwanie w bólu.

Niektórzy Polacy odchodzili do wieczności cicho i godnie. Nie prosili wroga o pomoc, nie żebrali, aby do chorych przysłano lekárkę Głászę. Polacy wiedzieli, za co giną, i wiedzieli o przyczynie cierpienia i śmierci. Szli do wieczności z ostatnią żołnierską dumą. Nie mogli oglądać ukochanej Wileńszczyzny, za którą walczyli i teraz umierali na nieludzkiej ziemi. Nie dane im było pocałować krzyża i nie wiedzieli, gdzie ich zwłóki zostaną pogrzebane.

Nad zaśnieżoną tajgą huczał wicher. W swym gwałtownym porywie jęczał w drutach kolczastych łągru i zdawało się, że w żalonym podmuchu słyhać było bolesne słowa „Wieczne odpoczywanie racz im dać Panie”⁶.

Równie wstrząsające sceny czytelnik napotka w innym jeszcze utworze podejmującym problematykę wojny i okupacji, całkowicie odmiennym od poprzednich. Mam tu na myśli pisaną w latach 1983–1984 powieść *Dwa światy*. Ukazuje ona poczynania profaszystowskiej Rosyjskiej Wyzwoleńczej Armii Ludowej (RONA) oraz jej dowódcy SS-Brigadeführera Bronisława Kamińskiego, któremu z czasem przydano przydomek „kata powstania warszawskiego”.

Utwory Łastowskiego oprócz scen batalistycznych przynoszą także – jak to wynika z wcześniejszych uwag – obrazy powojennej rzeczywistości. Po wyjeździe z Wileńszczyzny pisarz znalazł się w Wojewódzkim Urzędzie Ziemskim w Olsztynie. Tu zaproponowano stanowisko podkomisarza ziemskiego w Węgoborku (dzisiejszym Węgorzewie). Gdy przybył na miejsce, przed jego oczyma roztoczył się przynębiający widok, który utrwalaony został na kartach powieści zatytułowanej *Pierwsze ślady*:

Węgobork, miasto powiatowe ze śródmieściem poważnie zniszczonym, straszyl kikutami kominów po zburzonych domach i kamienicach. Nad czarną pustynią popiołów i spalonych zabudowań, przysypanych teraz śniegiem, szczęśliwym trafem losu górował swymi ocalałymi wieżami kościół. Okoliczne mury kamienic straszyl ranami wyrwanych ścian, pozawalałych dachów. Tutaj wojna jak huragan przewracała drzewa, zdruzgotała gąsienicami czołgów bruk jezdni i wyżłobiła wyrwy na drogach i polach. Pokaleczyła piorunem pocisków armatnich i szrapneli drzewa w parkach i ogrodach, pościnała kominy, zabarykadowała żelastwem rozbitych samochodów, traktorów i czołgów. Drogi prowadzące z Węgoborka na zachód były nieprzejezdne. Budynek stacyjny bez okien i drzwi, z wyrwanymi ścianami, świecił pustkami. Miasto wydało mi się miejscem zniszczenia, smutku i cierpienia⁷.

Młody, dwudziestoparoletni ekspatriant rzucił się w wir pracy, starając się przywracać życie w opustoszałym mieście i okolicznych wioskach. Jego obowiązki zdecydowanie się zwiększyły, gdy na wiosnę 1946 roku UB z sobie tylko wiadomych powodów zaarrestowała jego przełożonego – komisarza Czarniowskiego. Wówczas nie przypuszczał jeszcze, że niespełna rok później przyjdzie mu

⁶ E. Łastowski, *Umierali, aby żyć* (utwór niepublikowany), s. 242–244.

⁷ *Idem*, *Pierwsze ślady* (utwór niepublikowany), s. 71.

podzielić nieszczęśliwy los współpracownika. Otóż jako komisarz ziemski musiał współpracować z Państwowym Urzędem Repatriacyjnym, pomagał bowiem osobom przyjeżdżającym ze wschodu w osiedlaniu się. Któregoś dnia dawna znajoma poprosiła go o pomoc w wystawieniu dla jej bliskiego zaświadczenia potwierdzającego polskość i innych dokumentów niezbędnych do uzyskania karty repatriacyjnej. Za wstawiennictwem pisarza kierownik PUR-u Bogdanowicz wydał dokumenty, że ów człowiek, którego zresztą obaj nie znali, zgubił kartę repatriacyjną. Wkrótce okazało się, że w ten sposób udzielili pomocy osobie poszukiwanej przez Urząd Bezpieczeństwa, najprawdopodobniej jakiemuś dowódcy AK.

Po aresztowaniu w kwietniu 1947 roku Łastowski najpierw przesiedział kilka tygodni w piwnicach budynku UB, później, w lipcu 1947, uczestniczył w groteskowym, całkowicie sfingowanym procesie sądowym, w którego wyniku skazano go na trzy lata więzienia. Była to najniższa kara pozbawienia wolności, jaką przewidywał wprowadzony w 1946 roku tzw. „mały” *Kodeks karny*. Pisarz trafił do więzienia w Ełku. Przez półtora roku przebywał w straszliwych warunkach. Później nie było już tak źle, gdyż dzięki rekomendacji znajomego więźnia, inżyniera pochodzącego ze Zbaraża, zaczął odpracowywać karę w księgowości przywieziennego gospodarstwa rolnego. Opuścił areszt w roku 1950. Swoje doświadczenia więzienne opisał w tworzonej w latach 1952–1953 powieści *Ptaszek na kracie*. Mroczną atmosferę stalinowskich czasów oddaje chociażby scena przesłuchania prowadzonego przez zamroczonych wódką ubowców:

Do pokoju wtoczył się jeszcze bardziej pijany jegomość w cywilnym ubra-
niu. Był młodym człowiekiem o końskiej twarzy i trzymał w ręku sowiecką
pepeszę.

– Czego chcesz?! – krzyknął i patrzył na swego kolegę.

– O, ten! – pokazał palcem na mnie rudy ubowiec.

– Ten gagatek?! – wykrztusił zdziwionym głosem cywil i podszedł do
mnie, uważnie wpatrując się zażawionymi od alkoholu oczami w moją
twarz. Próbował trzymać się prosto, lecz głowa opadała mu na piersi, co
chwila pluł pod nogi, a ślina tryskała na moje kolana i stopy. Po chwili zbli-
żył się do mnie i przytknął nos do mojej twarzy.

– To ten gagatek?! – zamamrotał i opadł ciężko na pobliski fotel. Auto-
mat położył na stole, obok siebie, i po chwili zaczął chrapać [...].

Przez na wpeł otwarte drzwi zauważyłem kilku ubowców. Siedzieli
przy stole i pili wódkę. Jedni prosto z butelki, inni ze szklanek [...]. Sie-
dząc w miękkim fotelu, a mając za sobą pijaną zgraję, byłem przygotowany
w każdej chwili na cios [...]. Rudy obszedł naokoło fotel, gdzie siedziałem,
podniósł bykowiec do góry, dotknął nim mojej twarzy i odszedł. Drugi

ospowaty ubowiec z zadartym nosem przyjrzał mi się, szepnął coś stojącemu obok koledze i odszedł. Po chwili zauważyłem, że jeden z nich zabrał bykowiec rudemu i zbliżył się do mnie. Wtedy zapomniałem się i zacząłem urywanym głosem powtarzać: „Pod Twoją Obronę...”. Zgraja stanęła zdumiona. Żaden z nich nie odezwał się ani słowem. Ten, który stał najbliżej mnie, opuścił bykowiec, zaklął i cofnął się parę kroków. Po chwili znikł za drzwiami sąsiedniego pokoju, gdzie odbywała się libacja⁸.

Po wyjściu z więzienia w podzięce za to, że dane było mu przeżyć, pisarz wyruszył z warszawską pielgrzymką do Częstochowy. Była to – jak głosi tytuł pisanej w latach 1951–1952 książki opisującej jego przeżycia – *Niezwykła pielgrzymka*. Jak łatwo się domyślić, odbywająca się w czasach stalinowskich peregrynacja do Cudownego Obrazu była w istocie czymś ze wszech miar osobliwym. Zadał o to wszechobecny Urząd Bezpieczeństwa, który na wszelkie sposoby starał się zastraszyć i zniechęcić pielgrzymów, a dodatkowo – ośmieszyć ich w oczach społeczeństwa.

W roku 1950 Łastowski zamieszkał u rodziny w podzielonogórskim Jędrzychowie. Na Ziemiach Zachodnich miał już wcześniej okazję przebywać. 20 listopada 1945 roku na zaproszenie znajomego wraz z grupą 20 osób z Węgorzewa pojechał do Szczecina na rozpoznanie terenu. Nadbałtycki gród mu się nie spodobał. Było to bowiem miasto bezprawia. Nie było w nim ani policji, ani polskiego wojska. Wszędzie grasowały bandy, częstokroć złożone z żołnierzy sowieckich powracających z frontu. Wywożono wysiedlonych Niemców. Ci zabierali cały dorobek. Rosjanie napadali, zabierali pieniądze i kosztowności. W nocy nie można było wychodzić. Wszędzie dokonywano napadów. Zupełne zniechęciła przybyszów z Węgorzewa pewna mroząca krew w żyłach sytuacja, z którą zetknęli się już pierwszego dnia swego pobytu. Szczeciński gospodarz spotkania, chcąc przenocować swych gości, zaprosił ich na zaplecze swego dużego domu przy ulicy Parkowej. Gdy tylko otworzył drzwi, ukazały się trupy. W nocy ktoś wrzucił je do pokoju przez okno.

Od zamieszkania w Szczecinie odstręczała inna jeszcze okoliczność. Wszyscy obawiali się, że miasto z powrotem przejdzie do rąk Niemców. Gorąco też liczyli, że w krótkim czasie dany im będzie powrót na Wileńszczyznę.

Łastowski, przebywając w latach 50. na Ziemiach Zachodnich, miał wiele okazji, by obserwować transporty z tzw. repatriantami. Przyjeżdżali wynędzniali ludzie, głównie wiejska biedota. Inteligencja kulturalna i techniczna w większości wymordowana została przez Sowietów i hitlerowców. Pozostała jej część zakatowali w aresztach śledczych i więzieniach stojący na straży podległości Polski wobec Rosji Sowieckiej bermanowscy siepacze. Przyjeżdżali ludzie, którzy uciekli spod banderowskiej siekiery na Wołyniu i Podolu, wyrwali się z łagrów Kaługi

⁸ *Idem, Ptaszek na kracie* (utwór niepublikowany), s. 52–54.

i arktycznego piekła Archangielska i Norylska, przybyli z udręczonej Ziemi Wileńskiej i kazachskich bezdroży. Pióro prozaika zanotowało taki oto obraz:

Długi zestaw towarowych wagonów przybył na stację. Pociąg odstawiono na boczny tor. Drzwi wagonów pootwierano. Z czeluści wychodzili nieśmiało nie ludzie, ale widma. Wychudzeni, obrośnięci, cuchnący potem i moczem, bo podróż trwała bardzo długo.

– Patrzcie, co za kultura! Same brudasy jadą zza Buga. Tylko napluć na takich ludzi. Zanieczyszczą nam ziemię – krzyczał jakiś stojący obok młody mężczyzna w dobrze skrojonym garniturze, ogolony, z białym kołnierzykiem.

Spojrzałem z politowaniem na tego człowieka. Zabrakło mi słów. Tylko tłumiliłem żal, złość i wstręt do tego prymitywa. Nie odezwałem się ani słowem. Pokiwałem z politowaniem głową. Zamiast inżyniera Rąbali spotkałem profesora Skrobala. Zrazu nie mogłem go poznać. Wychudzony, w sfatygowanej kufajce, twarz miał zmęczoną, ale w oczach błysk radości i nadziei. W głębi wagonu widziałem zastygłych ludzi. Wydawało się, że wracają z tamtego świata⁹.

Ludzie, których przywożono w kolejnych transportach, godzili się ze swoim losem, zachowując milczenie, byli bowiem mocno zastraszeni. Pisarz w swych wspomnieniach zapisanych na początku lat 60. stwierdzał:

Większość wysiedlonych musiała pozostać w głębi ZSRR. Ich powroty były jakoś przemilczane w prasie, a i oni sami nie byli skorzy do mówienia. Twarda szkoła stalinowska, którą przeszli, nie usposabiała do odwagi za wszelką cenę [...] ¹⁰.

Niekiedy jednak podnosiły się protesty. We wspomnieniach Łastowskiego czytamy:

Były [...] wypadki, że transporty nie chciały się rozładowywać w oznaczonych punktach. Przybyły transport do Gubina nad Nysą wywołał buntowniczy nastrój.

Gdzie nas zawieźli – krzyczały kobiety. Nie wyjdziemy z wagonów – mówili mężczyźni – tu nie zostaniemy, tu min pełno, o miedzę granica niemiecka, tu tylko chwasty. Jeżeli umierać, to umrzemy w wagonach. [...].

⁹ *Idem, Pierwsze ślady* (utwór niepublikowany).

¹⁰ *Idem, Nowi ludzie na starej ziemi* (utwór niepublikowany), s. 119.

Sytuacja była przykra i gdyby nie takt miejscowego naczelnika PUR, który wspólnie ze starostą, proboszczem i resztą miejscowych ludzi umiał przemówić i poruszyć właściwą nutę patriotyzmu, ambicji, obowiązku – kto wie, jakby się cała sprawa zakończyła¹¹.

Państwo zastosowało cały system zachęt i preferencji adresowanych do nowo przybyłych osadników. Oferowano im bezpłatną podróż na miejsce zasiedlenia, bezzwrotne pożyczki na zagospodarowanie, dwuletnie zwolnienie z płacenia podatków i wiele innych ulg. Z kolei propaganda państwowa dokładała starań, aby kreować swoisty mit osadnictwa. Zadbano o to, aby zakotwiczyć w świadomości społecznej pojęcie „powrotu do macierzy”, a co więcej – starano się zespolić je w nierozzerwalny związek skojarzeniowy z pojęciem „repatriacji”. W swych wspomnieniach zielonogórski prozaik zanotował:

Określenie „repatriacja”, „repatriant” szerokim masom prawie nieznanie było przed 1939 rokiem. Dopiero w latach zawieruchy wojennej zostało ono spopularyzowane, ale nie wszyscy zdawali sobie sprawę, co dokładnie ono oznacza. To niezbyt dokładne zrozumienie było źródłem niejednego dość komicznego zdarzenia. Pewnego dnia do biura PUR w Zbąszynku przyszło kilka kobiet w sile wieku z prośbą o informacje, bo chcą jechać na zachód. Urzędnik udzielił informacji, długo tłumaczył, co i jak, po czym zapytał:

– Wy kobiety, jesteście repatriantkami. Skąd?

– A my, proszę wielmożnego pana, som z Botnerów kiele Łowicza – padła odpowiedź. Urzędnik uśmiechnął się. Dobre repatriantki, przecież Łowicz to serce Polski.

– Mój panie – mówiła jedna z petentek – ludzie nom gadali, że repatrianty – to te, co jadą. To i chcemy tamoj jechać...¹²

Przedstawiona sytuacja rzeczywiście wydaje się dość zabawna, ale musimy pamiętać, że PRL-owska propaganda wcale nie zabiegała o nazbyt wnikliwe roztrząsanie semantyki wskazanych kategorii pojęciowych. Powiedzmy więcej: prości, niewykształceni ludzie częstokroć nie pojmowali sensu tych kategorii, tymczasem komunistyczni propagandyści świadomie sens ten deformowali.

Nowo przybywający osiedleńcy dzień po dniu coraz bardziej zadamawiali się na Ziemiach Zachodnich. Obrazki ukazujące ich codzienny trud i troski dnia powszedniego, związane z ich wrastaniem w pejzaż Środkowego Nadodrza, pisarz

¹¹ *Ibidem*, s. 32.

¹² *Ibidem*, s. 37.

ukazał w ukończonym w 1954 roku zbiorze prozy zatytułowanym *Chłop i inne opowiadania*.

Ludzie, którzy po II wojnie światowej napłynęli na Środkowe Nadodrze z różnych stron Polski, Europy i świata, utworzyli tu swoisty tygiel kulturowy, niezborną mieszkankę tradycji, doświadczeń historycznych, poglądów i wartości. Kształtująca się w tym tyglu tożsamość zarówno całej społeczności, jak też poszczególnych indywiduów jest jakby wciąż niegotowa; jest tożsamością *in statu nascendi*. Łastowski zdaje sobie sprawę, że tego rodzaju tożsamość stała się także jego udziałem. Pojęcie „tożsamości „niegotowej” ma tu sens zarówno pozytywny, jak też negatywny.

W sensie pozytywnym dysponowanie tożsamością *in statu nascendi* oznacza bycie ciągle „w drodze”, ciągły wysiłek autokreacji, nieustanne dążenie do wyrwania się z zastygłych form i otwieranie się na wielość kultur. Jest to typ tożsamości, który cechuje jednostki prawdziwie twórcze.

„»Niegotowość« tożsamości” w sensie negatywnym spowodowana jest niezdolnością jednostki do wrośnięcia w pewną społeczność, niemożnością głębokiego identyfikowania się owej jednostki z otaczającą ją wspólnotą. Łastowski głęboko odczuwa ból tego rodzaju niemożności. Trudno jest zielonogórskiemu prozaikowi identyfikować się ze społecznością, która – co z przykrością konstatuje – cierpi na historyczną amnezję, która nie chce pamiętać o swojej przeszłości, której wystarczyło niespełna 45 lat zniewolenia, aby już na stałe zapomnieć o Kresach, spuścić zasłonę milczenia na okrutne zbrodnie dokonane przez Rosjan, Niemców, Ukraińców i Litwinów na mieszkańcach wschodnich krańców Polski. „Gdzież są polscy historycy” – pyta Łastowski – „skoro tak wiele ważnych wydarzeń i tak wiele zbrodni na narodzie polskim ginie w czeluściach niepamięci?”. Jak wielu Kresowian ubolewa on, że społeczeństwo nasze nie było zdolne wykształcić politologów i prawników, potrafiących upomnieć się o naprawienie sowieckich szkód i poddanie dyktatów Józefa Stalina, na których mocy zagarnięte zostały polskie Kresy, pod refleksję międzynarodowych trybunałów. Trudno mu odczuwać głęboką więź ze wspólnotą, w której skarlenie ducha sprawiło, że miejsce patriotyzmu i dbałości o interesy narodowe zajęły konformizm i poprawność polityczna. Poprawność polityczną uznaje pisarz za „największą chorobę serc i umysłów polskich elit”, żywi jednak głęboką nadzieję, że nie jest to choroba nieuleczalna.